



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznej kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20 z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie 11 b. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 50.

Pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.

Ekspedycya Główna ulica Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu kwartalnie 3,50 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

ROZKOSZ OCZU.

„Matki nie powinny zapominać, że dzieci nie były im dane, aby należały do nich, aby były rozkoszą ich oczu i wdziękiem ich życia, ale że są tylko zakładem, rzeczą pożyczoną.“

Hoffmanowa.

Ileć widzę dzieci postrojone bajecznie, dzieci fryzowane, dzieci w gipiurach, aksamiatach, wstążkach i piórach, tyleć uczuam jakby ból oczu, tak mnie smuci to przeświadczenie, iż są matki, czyniące sobie z dzieci lalki.

Inaczej nazwać tego nie można, jak bawieniem się. „Rozkosz oczu“ czynią sobie matki z dzieci i sądzą rzeczywiście tak, jak ongi powiedziała Hoffmanowa, iż dzieci są na to im dane, aby były wcieleniem ich życia.

Cieszy to mamusię, gdy ludzie oglądają się za jej dzieciną, podobną do aniołka. Sprawia to mamusi największą przyjemność, gdy dzieci jej uznane są za najpiękniejsze. Na codziennej przechadzce, po plantach lub alejach, czyni się wystawę ze swoich dzieci i kocha te istoty nie jako bohaterów, którzy mają zwyciężyć wszelkie zło w głębi ich duszy kielkujące, ale jako piękne kwiaty, budzące rozkosz dla oczu.

Mamusia niema czasu dziś skarcić i ukarać Manusię za jej upór przy ubieraniu się rannem, bo chociaż dziewczynka ze służącą obeszła się bardzo niegrzecznie, chociaż wylała kawę, uderzyła nianię, karać nie było można, gdyż o 11-ej musi się być na przechadzce i przedstawić nowy kapelusik, w którym dziecko „bosko“ wygląda.

Mamusia nie może zwalczać lenistwa i próżniactwa u swojej Iry, bo na każde ostrzejsze słowo ona odpowiada płaczem, a płacz psuje jej cery, gasi oczy i szkodzi piękności.

W podobny sposób zapatrują się niektóre matki na sprawę wychowania pięknych dzieci i — nie wychowują ich weale.

Rozkosze oczu wyrastają prędko na panny jeszcze piękniejsze, a te wychodzą za mąż i stają się rozkoszą oczu swoich mężów.

Szkoda tylko, wielka szkoda, iż nie są

one tak samo rozkoszą dusz, jak oczu. Szkoda tylko, iż wchodząc w drogę obowiązków wielkich, nie przynoszą z sobą nic więcej, nad piękność fizyczną, podnoszoną sztucznie przez niepomierne strojenie się.

— Ta kobieta, to rozkosz oczu — powiadają ci i owi, patrząc na żonę Iksa, lecz nie wiedzą, iż w domu okazuje się jej bezdenna głupota, bezmyślność i zarozumiałość, jako kallectwo i garb nieuleczalny.

Czy ona winna, że nie umie być czemś więcej, niż lalką wystrojoną?

Kto wie, czem można było uczynić serce tej kobiety i jak duszę tę wzbogacić, gdyby się było dziecko inaczej przez wychowanie prowadziło!

Krasiński w liście do syna powiada: „Wczesnie trzeba się brać do odlalczania siebie...“ — a my, niebaczne matki, nie tylko, że nie zabieramy się do odlalczania wrodzonych właściwości u naszych dzieci, lecz jeszcze je rozwijamy i pomnażamy.

Czy dziecko ubrane pięknie, lecz nie wyróżniające się pychą strojów nad inne, dziecko, któreby umiało kochać i ubogich i mieć litosć nad pracującymi, nie będzie „rozkoszą oczu“ naszych?...

Czy nie powinno być dla nas większem szczęściem, gdy spostrzeżemy, iż wytępiłszy popędliwość w duszy dziecka, niż gdybyśmy oglądali je w nowym, przesadnie strojnym kostymie, sprowadzonym z zagranicy?...

Rozkosz oczu powinna się znajdować w wyrazie twarzy naszych dzieci, w ich postępkach, godnych nazwy czynów ludzi szlachetnych, w tym posiewie szczeroci, który nasze dzieci rzucać będą dookoła, a nie w sztucznych lokach, bogatych koronkach i dygach wyczynionych. Piękno jest wtedy szczęściem polową, jeśli idzie w parze z dobrem.

Cóż z pięknych dzieci, panien, żon i matek, jeśli one nic dobrego nie dadzą, a przeciwnie nieszczęście rozsiewają?

„Rozkoszą oczu“ była owa panna wystylizowana w każdym calu, a jako żona stała się niedołączną gospodynią domu i mężatką.

„Rozkoszą oczu“ był ów młodzianek, nowożytny Apollo, a jako obywatel, Polak, mąż, ojciec, okazał się nikczemnym samolubem, który uważa siebie za bożyszcze i chce, by

jak bożyszczu, wszystko mu cześć oddawało.

Dzieci są pożyczone — bardzo słusznie powiada Hoffmanowa.

Posiadamy dzieci tylko przez jakiś czas, a potem musimy je oddać. Oddać narodowi, ojczyźnie i ludzkości. Ani naród, ani ojczyzna, ani ludzkość nie będą żądały, by nasze dzieci były „rozkoszą oczu“, lecz mają prawo żądać, by były one siłą moralną i duchową w szeregu ludzi pracujących pożytecznie, by one mnożyły szczęście w narodzie, a nie lamały, by one dobro czyniły, a nie psuły.

Przy pracy wychowawczej nad wyrabianiem charakteru u dzieci, nie ma czasu na strojenie papuzie i czynienie sobie zabawki z dzieci, dlatego, aby nam było miło cieszyć się ich pięknoscią.

Dziecko stosownie ubrane, jest i będzie piękne przez samą swą młodość, przez urok swej niewinności, jak są piękne lilie wodne, dzwonki leśne i konwalie białe, a wtedy największa jest „rozkosz oczu“, kiedy się odkryje w duszy dziecka kielkującą enotę i zwalczoną wadę.

Jadwiga z Z. Strokowa.



MARYAN GAWALEWICZ.

BEZ CELU.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Złośliwa uwaga Dowmunta dotknęła ją boleśnie; stwierdziła bowiem jej podejrzenia, które odsuwała od siebie i tłumila, pocieszając się myślą, że te pozory głębszego uczucia w stosunku Sokolika do Broni nie mają poważniejszego znaczenia, że to sobie ot — „dziecinnada“, która po za wzajemną sympatyą niczego więcej nie wyraża.

Głucha zazdrość wśliznęła się do serca starej panny i jak mysz ostrym, drobnym zębem zaczęła je podgryzać.

Dowmunt nie domyślając się nawet, ile przykrości jej sprawia poruszaniem tego

tematu, po chwili milczenia odezwał się znowu:

— Powiedźcie Niewiasto, ale szczerze, gdyby tak kiedyś co, nie przymierzając... bo przecież dyabeł nie śpi, prawda?... więc gdyby do tego przyszło, kogobyście na szwagra woleli, mnie czy Lebieckiego?... no?... tylko bez babskiej polityki!... ja się nie obrażę za waszą szczerłość.

Sewerka poruszyła się, jak gdyby zamiast słów, garścią kolących cierni ją obrzucił.

— Et, dajcie mi pokój! — ofuknęła go; — także wam w takiej chwili głupstwa do głowy przychodzą.

— Hm, nie takie to głupstwo, jak myślicie — mruknął; — dziewczęta są przecie po to na świecie, aby wychodziły za męża i rodziły dzieci.

— Niekoniecznie; stare przesady z czasów niewolnictwa kobiet!... Nie miałam męża, ani dzieci, a żyję.

— Ale marnie, — wyrwało się z ust Dowmuntowi, który wpadał w swój zgryźliwy humor dokuczliwego weredyka.

— Marnie, czy nie marnie, to już moja rzecz i nikomu nie do tego.

— Ja też nie o was mówię, tylko o waszej siostrze. Bronka na pewno będzie wolała konserwatywne małżeństwo, niż postępową marynatę panieństwa. To rzecz gustu i instynktów. Wam się zdaje, że każdej brak apetytu chociaż na kawałek męża, jak wam; a jakże!..

Strzałkówna zagryzła wargi i zacisnęła mocniej powieki, pod którymi zbierały się grube łzy.

W pokoju, na szczęście, panował zmierzch, więc Dowmunt nie mógł widzieć wyrazu jej twarzy; ośmielony zaś jej milczeniem, mówił dalej:

— A zresztą nie upilnujecie, nie upilnujecie!.. jabym się założył o moje kudły na łbie i brodzie, że tam już sobie Sokoliczek gniazdo usłał w serduszkach panienki. Wasza wina, czy zasługa, czy ja wiem!... Nie trzeba ich było po ciemku zostawiać samych we dwoje, jak wtedy, kiedy to, pamiętacie? — była rewizja u Chronieckich. Spłoszyłem ich tutaj moją wizytą, że aż tchu złapać nie mogli. I co to dziwnego!... ja, że bym był na miejscu Lebieckiego, zrobiłbym to samo, zalecałbym się dziewoi aż do skutku, no i musielibyście mnie wziąć za szwagra, chociaż macie do mnie wstręt naturalny i paznogie was świerzbią, kiedy z wami rozmawiam.

Zaczął potem podrwiwać sam z siebie, nazywając się starym „bradiagą“, kudłaczem, zaśnieździłym samowarem, ale w tych szderstwach brzmiał jakiś zgrzyt nieprzyjemny, a w śmiechu coś dzikiego, zwierzęcego, co świadczyło o podrażnieniu wielkim, choć pokrywanym sztuczną swobodą i nadrabianym humorem.

Długo tajona zazdrość o szczęśliwego rywala odzywała się, niby borsuczy pomruk z osaczonej jamy.

— Niema co!... będziecie musieli błogosławić, Niewiasto. W naturze nic nie ginie; jednego szwagierka wam zabrali, drugiego wam łaskawie nieba dadzą. Vivat srocza i sokolik!..

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Sewerka nagle zdarła sobie gwałtownym ruchem chustkę z głowy, że aż płatki cytryny posypały się na podłogę, uniosła się na siedzeniu i ochryplym, załawionym głosem krzyknęła z wybuchem jakiejś żalosej pa-syi:

— Dajcież mi pokój z waszym dogadywaniem!... widzicie, że mi głowa pęka i że mi potrzeba spokoju. Wyoście się już!... mam dość tego na dzisiaj. Chora jestem.

Zmrużył oczy i z podejrziwym zdziwieniem spoglądał na nią przez chwilę, nie mogąc pojąć, co ją właściwie rozdrażniło tak bardzo w jego słowach i czemu się ciska z taką złością.

Przecie podobnemi żartami dokuczał jej dawniej niejednokrotnie, a nigdy do stanu tak wzburzonego nie doprowadzał.

Wstał, wrzucił ramionami, poszukał kapelusza i wyszedł ze słowami:

— Wściekła się!..

A ona po jego wyjściu rzuciła się znowu na otomanę, twarz wcisnęła w poduszkę i leżała tak, jak martwa, w ciemnym pokoju.

Bronia z Jerzykiem pozostała u Lebieckich na herbacie i nie spieszyła się z powrotem; od czasu porozumienia się z Edmundem, czuła się tam, jak w rodzinie, zapominała o całym świecie i była tak szczęśliwą, tak swobodną i zadowoloną, że za całe królestwo nie byłaby zamieniła tego cichego kącika przy boku kochanej panny Rózi i (kochanego jeszcze bardziej) pana Edmunda.

Zdawało jej się, że w tym uroku wspólnej tajemnicy, którą sobie przypadkowo zwierzyli, tej tajemnicy cudownej dwojga serc młodych i zakochanych jest jakiś przedziwny czar, co namaszcza ludzi na wybrańców i dodaje im godności, powagi, znaczenia.

Gdyby się nie wstydziła, byłaby ręce trzymała ciągle złożone na sercu, jak na jakimś relikwiarzu i chodziła z oczyma nabożnie spuszczone, niby zakonnica po złożeniu ślubów.

Ale chwilami znów przychodziła jej szalona chęć podskoczyć w górę, plaskać w ręczeta i wołać:

— A ja kocham, kocham mojego Sokolika i Sokolik mój mnie kocha, i kochamy się bardzo, bardzo, tak bardzo, że już więcej nie można!..

A kiedy sobie przypominała te chwile, gdy marzeniem jej było, żeby ten Lebiecki w ślicznym mundurku studenckim chociaż okiem na nią rzucił, żeby się do niej przynajmniej jednym słowem odezwał, żeby odpowiedział jej na naiwne zapytanie: „co myśli o „Weselu „Wyspiańskiego“,“ to głośno wybuchała zaraz śmiechem i nazywała się sama „durną gąską;“ cóż za porównanie bowiem było między tą przeszłością, tak niedaleką jeszcze, a dniem dzisiejszym, pomiędzy tą dorastającą pensyonarką w granatowej sukience do kostek, a nią, dzisiejszą Bronią, panną Bronisławą, przyszłą panią Edmundową Lebieką!..

Bo przecie do tego kiedyś dojść musiało, skoro się kochali, przecie kiedyś będą mogli się pobrać i należeć do siebie całkowicie na [zawsze, a że to może nastąpić do-

piero za parę lat, może za pięć, albo i dziesięć, to cóż?... będą czekali; alboż nie są oboje młodzi i nie mają dużo czasu przed sobą!..

Przedtem tyle jeszcze rzeczy jest do załatwienia, tyle spraw do uregulowania i to ważniejszych od ich małżeństwa, nawet od ich miłości; przedtem musi się rewolucya skończyć, muszą być wprowadzone reformy, musi być postanowione powszechne głosowanie, i ośmiogodzinny dzień roboczy, i unarodowienie szkół, i co to jeszcze?... ach, i mnóstwo inych kwestyi jeszcze musi być rozwiązanych, o których tyle się nasłuchiwała i naczytała w ostatnich czasach.

— Trudno — mówiła sobie z westchnieniem, — no trudno!... to musimy wpiery uzyskać, bo wcześniej Mundek nie będzie mógł pomyśleć o sobie i zająć się swojemi osobistymi sprawami.

Chwilami, co prawda, przychodziła jej wątpliwość, czy rzeczywiście tak być musi i czy mimo wszystko Mundek nie mógłby znaleźć dla siebie jakiegoś zajęcia, nie powinien postarać się choćby o cobądź, byle tej kochanej, biednej, zapracowanej Rózi trochę ulżyć i mieć własny kawałek chleba na te ciężkie czasy.

Ale wtedy przychodziło jej zaraz do głowy:

— Ach, mój Boże, a przecie i ja nie robię po całych dniach, tylko jestem takim darmozjadem, że aż wstyd, a on pełni służbę publiczną i ma tyle roboty przy Zeusie i w partyi; on przecie robi wolność, a ja co?..

Postanowiła kiedy o tem ze swoim Sokolikiem porozmawiać i poprosić go, aby jej wytłómaczył, czy ludzie, którzy się zajmują sprawami całego ogółu i robią rewolucyę, i pracują dla wyższych celów, dla całego społeczeństwa, dla całego kraju, dla ludzkości i t. d., muszą nie a nie nie robić dla siebie, żyć koniecznie czyimś kosztem, z dnia na dzień, i odsuwać wszystkie cele osobiste na ostatni plan, pozabawiając się najbliższych obowiązków dla tych szerszych, wyższych, poważniejszych względów dobra publicznego?..

Próbowała nawet poruszyć zlekka ten temat w rozmowie z Rózią i Edmundem przy herbacie, ale Rózia wydocznie nie chciała sprawiać przykrości bratu, bo skierowała rozmowę na co innego, powiedziawszy tylko:

— Nie dziw się, moja droga; kiedy dom się pali, niepodobna siedzieć przy stoliku i szyć spokojnie na maszynie, albo rysować plany, chwilowo trzeba przerwać wszystką robotę.

— No, a pani jednak cały dzień biega po mieście i lekcye daje? — zagadnęła ją naiwnie, nie spostrzegłszy, że tą uwagą mimowolnie dotknęła Edmunda i zasępiła mu twarz na resztę wieczoru.

Mimo to powróciła do domu taka pogodna i rozradowana, jakby w jej duszy świeciły najjaśniejsze gwiazdy i pachniały najwonnejsze kwiaty.

Siostrę zastała już w łóżku, z głową owiązaną, z wyrazem surowej jakiejś zadumy w oczach, zmienioną i zdenerwowaną.

Zauważyła od razu, że coś zaszło i że Sewerka zmieniła się dla niej, bo się nawet na

powitanie ucałować nie dała i nie chciała słuchać opowiadań o spędzonym wieczorze u Lebickich, tylko rzekła dziwnym jakimś tonem:

— Gdy ułożysz spać Jerzyka, przyjdź do mnie,— mam z tobą do pomówienia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



ROMANS.



Nad spienioną wodą,
Gdzie urwisty łąd,
Romans z wierzbą młoda
Wiedzie bystry prąd...

On ją muska lekko,
Ona cofa pnie,
Gdy on mknie daleko —
Ona z tęsknot schnie...

Gdy go braknie przy niej,
Wnet jej pusto, źle,
Przeto wciąż go wini,
I zazdrością technie...

Mimo uczuć zgody,
On wciąż rwie się w dal,
Bo ma serce z wody,
Bo ma serce z fal...

Wiktor Dzierżanowski.



KWIATY I CHWASTY.



Kazimierz Przerwa-Tetmajer; „Wybór poezji.“

Kazimierz Przerwa-Tetmajer wydał nowy „Wybór poezji“ (Gebethner i Wolff, 1907). W skład tego nowego „Wyboru“ (pierwszy wyszedł przed dziesięciu laty) weszły pierwsze cztery serye poezji Tetmajera z wyjątkiem „Erotyk“, kilku fragmentów ze Skalne-go Podhala“ i fragmenty z dramatu „Zawisza Czarny.“

Że Kazimierz Tetmajer jest znakomitym rymotwórcą, o tem wiemy wszyscy. Przypominać tego, powtarzać, nie potrzeba. Nie jego mistrzostwo techniczne chcę wielbić. Zajmuje mnie więcej dusza poety.

Jaka ta dusza?

Ku mej kołysce leciał od Tatr
o skrzydła orle otarty wiatr,
o limby, co się patrzą w mrowisko —
leciał i szumiał nad mą kołyską.

I w serce moje na zawsze wlał
tęsknot do orlej swobody szal
i tę zadumę limb, co się ciszą
wielką objęte, w pustce kołyszą.

mówi Tetmajer o sobie („Z preludów“).

Wicher, co się otarł o skrzydła orla i o zadumane limby, leciał, szumiał nad kołyską poety i zapadł w jego duszę. Ten wicher, co się otarł o skrzydła orla, dał jego skrzydłom poetyckim moc orlego lotu, a ten, co kołysał limby zadumane, technął w jego duszę zadumę. Więcej zadumy w talencie Tetmajera,

aniżeli mocy orłowej. Drży ona nawet nad jego przepięknymi, nastrojowymi krajobrazami („W Kościeliskach w nocy“ i innych).

Ale zaduma nie jest wiernym, posłusznym towarzyszem życia. siły męskiej, zdrowia. Smutek owiewa jej głowę, ciemny, mroczny welon przysłania jej oczy, samotne łzy, ona lubi ciche westchnienia, żałośliwe skargi, a gdy jej rzeczywistość mocno dokuczy, wybucha jęklwym pesymizmem lub gromami kłatwy.

Cichy smutek wieje nad „Wyborem“ poezji Tetmajera, naturalny smutek poety, który szuka w rzeczywistości daremnie odbicia, wcielenia swoich ideałów, swojego własnego poglądu na świat, ludzi i życie. Ten zadumany smutek limb, rozczerowany doświadczeniem, odbiera mu wiarę. („Z zamysłów“).

Żegnaj cię, ty promienna, jasna, kryształowa,
rozkwitająca, bujna wiosną woniejąca,
bądź zdrowa, złota zorzo pogodnego słońca,
czarodziejko potężna, wszechmocna — bądź zdrowa.

Żegnaj cię ty, co wiesz na spiżu i miecze,
na rozszalałe fale, we wrące płomienie,
na drogi, gdzie strach błady mieszką i cierpienie,
gdzie zaraza strudzoną śmierć za sobą wlece,

nie zdejmując uśmiechu z twarzy, ani chłodu
przerażeń, w krew nie sącząc; ty, co nowe moce
dajesz ludziom, gdy los ich złamie i zdruzgoce,
i cenniejszą nad wszystko niepamięć zawodu...

Żegnaj cię! Jak z innymi przyszedł na świat z mną,
lecz mi cię wydzierano i w końcu wydarto —
wiaro w życie! żegnaj cię, żegnaj cię. Nie warto
żyć bez ciebie, a chcieć cię odzyskać, daremno,

Życie, rzeczywistość, ta ciągła, ohydna walka o byt, ta bezlitosna deptanina słabszego przez mocniejszego, to podle wyzyskiwanie uczciwego, dobrego, łatwowiernego, przez nieuczciwego, chytrego, sprytnego, to bezwzględne, zwierzęce spychanie jednego przez drugiego, ten niekończący się łańcuch ambicyi, słabości ludzkich, głupstwa i płaskości — ta karykatura ideału, odbiera niewątpliwie naturom, nad których kołyską leciały wiehry podhalne i wiała zaduma limb, wiarę w czystość życia ziemskiego i w dobroć człowieka w ogóle, nastroja niewątpliwie pesymistycznie, ale t. zw. szczęście ludzkie nie jest celem, godnym takich natur, o czem zresztą wie Tetmajer, bo mówi bardzo ładnie („Na pamiątkę“):

Jedno jest tylko zbawienie na ziemi,
zatłumić w sobie dzikie, ludzkie zwierzę,
za ideałami lecieć słonecznemi
i zgłuszyć serca krzyk w wielkiej ofierze
i zapomniawszy swojej doli własnej,
niedolom cudzym być jak anioł jasny.

Zgłuszyć w sobie nie serca krzyk trzeba, by nie zwątpić o celu świata i życia, lecz po prostu wziąć na łańcuch zwierzęce pożądanie i apetyty zmysłów, one to bowiem zmieniają ludzkość w menażeryę, obrzydliwszą częstokroć (w chwilach rewolucyi) od menażeryi zwierzęcej.

Wie o tem Tetmajer dobrze, a mimo to trudno mu zapanować nad ową zadumana limbą, która ocieniała jego kołyskę. Cały potok łez, skarg, jęków, żalów, westchnień, żalów oblewa „Wybór“ jego poezji. Po jakimś jaśniejszym błysku wraca zawsze do swojej niewiary, która wpiła się w jego duszę pazurami wampira.

Jutro? Nie wierzę, aby lepiej było,
I nie zazdrozczą już tej wiary dzieciom.
Po co się ludzi? Wydarte stuleciom
posepne, smutne, zimne doświadczenie,
złudzeniom wszelkim na czoło wyrzucił:
„śmierć i nicestwo!“ zabiło złudzenie.

(„Credo“).

I coraz większą w oczach mam ciemnotę.
I chciałbym wierzyć, lecz wierzyć nie mogę,
dokąd iść — nie wiem — zgubiłem swą drogę.

(„Zwątpienie“).

„Zgubił swoją drogę,“ a gdy człowiek zgubi swoją drogę, nie pozostaje mu nic innego,

jak rzucić się w bezden „nirwany.“ Rzuca się Tetmajer w tę bezden, wyciąga ręce do nirwany, wzywa nicości w „Hymnie do Nirwany“).

Z otchlani kłesk i cierpień podnoszę głos do ciebie
Nirwano!
Przyjdź twe królestwo jako na ziemi, tak i w niebie
Nirwano!
Złemu mnie ze szpon wyrwij, bom jest utrapion srodze,
Nirwano!
Oto mi ludzka podłość kałem w źrenice bryzga,
Nirwano!
Oto się w złości ludzkiej ma stopa ślisga,
Nirwano!
Oto mnie wstręt przepelnił, ohyda mnie zadusza,
Nirwano!
I w bólach konwulsyjnych targa się moja dusza,
Nirwano!
O przyjdź i dłoń swe połóż na me źrenice,
Nirwano!

Po takim wybnczu rozpaczy, zdawałoby się, że poeta wsiąknie w nirwanę, że przetnie nić mąk i cierpień. Tymczasem Tetmajer żyje, jest zdrow, miewa się dobrze, pracuje, walczy o byt, boryka się odważnie z życiem, jak każdy człowiek w ogóle. Znaczy się to, że instynkt życia, wszczepiony każdej żywej kreaturze, jest w nim silniejszy od pesymizmu poety, że co innego teoria, a co innego praktyka. *Grav ist alle Theorie...*

Tyle już myśliciele i poeci nalamentowali naszlochali się, najęczeli się, a życie idzie swoją drogą, drwiąc sobie z ich lamentów i szlochów. Tyle już różni pesymiści od Salomona począwszy, aż do Schoppenhaura i Leopardiego naprzeklinali świat, a świat stoi zawsze ten sam, potężny, ogromny, nieobjęty i niepojęty w swej tajemnicy, a nad tym światem króluje Pan Panów niezmiennie, prowadząc wszystko, co istnieje, do swoich celów.

Wszelkie lamenty i szlochy filozofii i poezji nie mają w życiu żadnego zastosowania — są jako ten wiatr, co w polu wieje, jako ten szum zadumanych limb. Nikogo nie przekonują. Każde nowe pokolenie rzuca się z nową, młodą wiarą w wir życia, goniąc marę szczęścia, każde wierzy, że się dopiero od niego świat zacznie. Nie wielu się rozczerowuje, bo nie wielu umie myśleć samodzielnie, chce myśleć, ma czas do myślenia. Dziewięćset dziewięćdziesiątych części ludzkości na tysiąc bierze życie takim, jakim ono jest, nie zastanawiając się nad jego tragedją. Przeto nie warto odgrywać roli puszczyka. Dla kogo? Chyba dla siebie. A poeta nie tworzy dla siebie. Lepiej, pożyteczniej być aniołem pociechy, albo orłem, jeśli kogo stać na potężny orli lot. Dowodem tego jego „Kolumny Samsona“ i „Exodus.“ Trzeba posiadać w swojej lutni dźwięki kruszcza, szczęk oręza i krzyk nieprzejednanej nienawiści, aby odtworzyć nienawiść Samsona, jego prośbę do Jehowy i jego zemstę straszliwą. Kogo stać na takie „Kolumny Samsona,“ tego stać także na dzieła męzkie w szerokim stylu.

Teodor Jeske-Choiński.



Czuwająca gwiazda.



„...il ny a pas d'étoile heureuse; celle qu'on appelle ainsi, est une étoile qui patiente.“

Maeterlinck.

Było to bardzo dawno, w wieku złotym, kiedy bogowie chadzali po ziemi, uwodzili piękne dziewczęta, polowali na łanie i pijali nektar z jednej czaszy z władcami ziemskimi. W świątyniach cudne dziewczęta tańczyły przed ołtarzami bóstw, a na Olimpie lirnicy i poe-

ci śpiewali pieśni sławiące miłość, rozkosz i potęgę książąt i bogów.

Byli wtedy i filozofowie, ale ci nie bywali na Olimpie i nie pijali nektaru z bogami, tylko mieszkali w wydrążeniach skalnych lub w beczkach, a za napój używali jedynie wody, czerpanej muszlami ze źródeł.

Bo wtedy dobrze bywało tylko tym, którzy umieli zaskarbić sobie względy bogów, a bogowie sprzyjali tylko silnym i śmiałym, takim, co mieli w oczach iskry, na ustach uśmiech i dowcip, a zawsze gotowymi byli do hołdu i pokłonów dla potęgi bogów. Filozofowie zaś byli smętni, zamysleni i nudni, od blasku bogów trzymali się zdala i dlatego też życie ich płynęło cicho, jak fale wód letniejszych, a istnienie ich odarte było z wszelkiego uroku.

Wśród zwykłych śmiertelników mało było ludzi szczęśliwych, wybrańców bóstw; wielu było takich, których szale losu ciągle chyliły się to w górę, to na dół, nad innymi znów wisiało okrutne, nieubłagane fatum.

Żył wtedy człowiek, którego zwano Teonem. Życie jego weszło było pod cień złej gwiazdy i mawiano o nim, że lepiej, żeby się był nie narodził. Tem cięższą była niedola jego, że nie był z tych, którzy się rodzą już w ucisku i poniżeniu.

Purpurą była kryta jego kolebka, kobiercami słane komnaty, w których chłopięce spędzał lata. Gdy był młodzieńcem, róże kwitły w jego ogrodach, a na polach winna latorośl bujnie się rozścielała; na łąkach pasły się niezliczone stada trzód, których strzegły liczne zastępy sług i pasterzy. Panem był dobrym i kochali go wszyscy podwładni, gdyż nikt u niego nie był niewolnikiem. Sława jego dobroci sięgała daleko i dlatego chronili się do niego niewolnicy, przez srogich panów uciskani.

I miłość nie skąpiła mu swych uroków. Dziewoje słały ku niemu wabne spojrzenia, nęcąc obietnicą i uśmiechem. Ale on tylko jednej odplacał względami. Była to piękna Atryda, amazonka z nad rzeki Termodonu; na piersiach nosiła pancerz, a frygijską czapką przystrajała głowę. Piękność jej niepodobną była do piękności innych dziewczyn, powab jej innej był natury, niż wdzięk zwykłych kobiet. Była jak gdyby z innego świata i mawiano o niej, że jest z rodu bohaterów—zrodzoną z bogini i człowieka-mędrca.

Nie było w niej słodyczy miodu, ale upajająca moc wina,—mówiła wiele u szczęściu, ale nie tem, które się zamyka w ciasnych ścianach gynecium lub świątyniach bóstw, lecz jakimś wielkiem i niezmiernym, jak przestwory oceanu.

Kochała orły i lubowała się w ich śmiałym i wysokim locie. Śpiewała pieśni, które nie kołysały do snu rozkosznego, lecz wlewały ognia do krwi i rwały serca gdzieś w świat szeroki, do boju i zwycięstw.

Ale pieśni te nie podobały się bogom. Więc zjawił się któregoś dnia Zeus w postaci sępa i uniósł piękną Atrydę.

Od tej chwili odwróciło się szczęście od Teona; snąc zagniewani byli bogowie na niego za blizkie stosunki z ich nieprawomyślną siostrzycą. Zły sąsiad najechał na jego posiadłość i zagarnął całe jego mienie. Dzieci

jego uczynił sługami sług swoich i kazał im obracać kamienie w żarnach. W ogródkach wytrzebił róże i winną latorośl, a posadził konopie na powrozy dla niewolników; z domu nie pozostawił kamienia na kamieniu, a posąg przetopił na dzidy i oszczepy. Liczne zastępy sług i pasterzy rozproszył po dalekich stronach i okuwszy w kajdany, niewolikami uczynił.

Próżno wzywał nieszczęsny Teon pomocy ziemskich i boskich potęg; ludzie byli słabi i obojętni, a bogowie zimni i niedostępni.

„Czyż już niema dla mnie nadziei? czyż ciężki mój wyrok nieodwołalnie na żelaznym ołtarzu Przeznaczenia złożony?“—wołał w rozpacz Teon.

I pragnąc uchylić tajemniczej zasłony przeszłości, udał się do mędrca Synona, o którym mówiono, że przenikał rzeczy tajemne i niedocieczone i widział to, czego nie widziały oczy zwykłych śmiertelników. Synon rozumiał podobno dziwną mowę gwiazd, a one mu powierzały tajemnicę przeznaczeń ludzkich.

Mąż ten żył jak nędzarz, mieszkając w porzuconem przez żeglarzy [czólnie, żywiąc się owocami leśnymi i miodem, znajdowanym w wydrążeniach drzew.

„Powiedz mi, mędrze Synonie, jaką jest gwiazda moja?“—zapytał Teon.

„Twoja gwiazda nie jest szczęśliwą. To gwiazda cierpienia“—odrzekł Synon, zatapiając wzrok w niebieskie sklepienie.—„Ale słyszę jakby głos, biegnący po jej promieniu: „Czuwam—w oddaleniu.“ Dobry jakiś duch czuwa nad tobą, co znaczy, że gwiazda cierpienia może zamienić się w gwiazdę cierpliwą i oczekującą, a los twój ciężki odmieni się niebawem.“

„O, kiedyż to nastąpić może?“—zapytał składając ręce Teon.

„Los twój zmieni się wtedy, gdy wróci Atryda na czele hufców swoich.“

„A więc nigdy?“—zawołał z rozpaczą w głosie Teon.—„Zagniewany Zeus uniósł Atrydę.“

„Czy widzisz, Teonie, tę rzekę, co płynie ku morzu—zapytał Synon.—„Czy wierzysz, że mogłaby odmienić swój bieg, gdyby bogowie tego chcieli?“

„O mędrze Synonie, straszny jest gniew bogów i silną ich potęgą,“—wykrzyknął Teon.

„Choć wielką jest moc bogów, ale silniejszym nad nich jest Daemogorgon, geniusz ziemski,—odrzekł Synon. On nie dopuści, by rzeki cofały się w swym biegu. On kieruje niewidzialnymi potęgami, przeciw którym gniew Zeusa bezsilnym jest, jak piana na falach morskich.“

Podczas tej rozmowy, niebo zasnuwało się chmurami, a w oddaleniu odzywały się głuche odgłosy grzmotu.

„O Teonie,—mówił dalej Synon,—oczyszc twój wzrok z ziemskiej mgły, która go przysłania, odwróć bieg twój myśli od nizin, a wnijdź na te szczyty, z których okiem duszy szerokie ogarniesz widnokreśli. Ujrysz tam twoją ukochaną Atrydę, która walczy na czele hufców niewidzialnych. Ona „czuwa w oddaleniu“ nad wszystkimi istotami, cierpiąciami w ucisku i nad ich wyzwoleniem pracuje.

A Geniusz Ziemi wspiera ją swą potęgą—bo prawem jego, nakazem natury, jest wol-

ność wszech istot. Więc rycerze Artydy na miliony się liczą, gościeńcie się przed nimi coraz szerszy, a potęgi ziemskie, jak dojrzałe kłosa chyła się w pokłonach przed niewidzialną władczynią.

Ale nie ujrzy tych cudów ten, co się sam słania przed siłą ziemską, a drży przed Zeusem! On będzie tylko widział nędzę swojego istnienia, konopie na miejscu róż, dzidy i oszczepy na miejscu posągów, które dom jego zdobyły, sługi w kajdanach i synów żarna obracających. Gwiazda cierpliwa, gwiazda czekająca ma dla niego tylko cienie, dopóki w sercu jego nie ma wiary, nie ma ufności do kochanki „czuwającej z dala.“

To wszystko co widzimy, to tylko szata zewnętrzna tego co jest. A pod światem widzialnym, wiruje nieustannie fa a rzeczy niewidzialnych, która unosi ludzkość tam, gdzie ją chce widzieć Geniusz Ziemi.“

Chmury kłębiły się coraz gęściej nad nimi, grzmot się przybliżał, a błyskawice oślepiającami smugami przecinały sklepienie niebieskie.

„Zeus się gniewa,“—rzekł Teon.

„Gniew bogów to tylko iskra,“—odrzekł Synon, Iskra nie zabije myśli, która przenika świat od końca do końca i łączy to, co było i jest z tem, co będzie. Myśl prowadzi ducha po tajemnych krążgankach świata, ukazując mu przyszłość wszechrzeczy. I oto wskazówka tego zegara przyszłości na najbliższą godzinę wskazuje: zwycięstwo hufców Atrydy i zmierzch bóstw olimpijskich.“

Ale Zeus gromowładny snąc nie mógł już dłużej słuchać tych bluźnierstw; krwawa błyskawica przeszła niebo, w powietrzu rozległ się straszny huk i trzask, jak gdyby nie jeden, lecz sto piorunów wyładowywało gniew obrazonego bożka. Synon padł, jak martwy, na ziemię. Żyw był, lecz gromem rażony, utracił słuch i mowę.

Podniósłszy się po chwili, przysiadł na ziemi i drżącą ręką nakreślił na swem czólnie te słowa:

„Gniew bogów może ciskać pioruny, ale nie może rzek wstrzymać w ich biegu. Uwierz Teonie w powrót Atrydy i poleć się z ufnością twej czuwającej gwieździe.“

Z. Bielicka.



Kursy społeczne.



Cel piękny: chęć ożywienia poczuć społecznych i wskazania dróg najlepszych i najprostszych ku osiągnięciu materialnego i duchowego dobra.

Urzeczywistnienie zamierzeń — przewyższające nadzieje organizatorów.

Taka jest, w krótkich słowach, charakterystyka zapoczątkowanych przez komisję archidiecezyjalną kursów społecznych.

Nie jeden, słysząc o nich, myślał: Będzie to nudna katechizacja, techną zakrystyą. Jeśli mimo takich przypuszczeń, wiedziony ciekawością, podążył na wykłady i wszedłszy do wielkiej sali Muzeum popierania przemysłu i handlu, ujrzał same niemal sutanny

i tonsury, utwierdził się jeszcze w swoim mniemaniu i pewien już był, że przyjdzie mu wysłuchać szeregu kazań, zabarwionych tendencją klerykalną, że horyzonty mówców będą ciasne, obwiedzione dokoła dogmatami, najeżone cytatami z Pisma świętego.

I oto przewidywania zawiodły... po pierwszych słowach pierwszego prelegenta.

Od razu powiał duch szeroki, wezwanie do posłębienia wiedzy, do społecznego kształcenia młodzieży, i to „nie w formie kursów specjalnych, lecz przez racjonalnie wykładaną historię powszechną, nie jako spis bitew i czynów bohaterskich, lecz jako dzieje pojęć, warunków pracy i walk o prawo i wolność.“

Takie wezwanie rzucił kapłan z pod zaboru pruskiego, ks. d-r Zimmermann. Domagał się dalej—katedry nauk społecznych w seminariach duchownych i nauczycielskich, studentów wakacyjnych, dla ludzi, którzy już się nie mogą cofnąć do szkolnej ławy, studiów teoretycznych i na praktyce opartych. Wreszcie podał plan organizacji stałego biura społecznego, które byłoby kierownikiem oraz instruktorem pracy naukowo-społecznej.

Inny mówca, także Poznańczyk, ks. Adamski, stawiał wniosek i wzywał do tworzenia dwóch kategorii instytucji—związków parafialnych, z zadaniem ściśle oświatowym i kulturalnym, pod kierunkiem, a przynajmniej z udziałem duchowieństwa, z minimalną składką (w Poznaniu wynosi ona 20 fenigów miesięcznie), oraz związków zawodowych, z celami praktycznymi, dążącymi do polepszenia bytu robotników, prowadzonymi bez udziału księży, lecz w duchu chrześcijańskim.

Po nad wszystkich mówców, duchownych i świeckich, wyrósł znany działacz społeczny, także Poznańczyk, ks. Wawrzyniak, proboszcz z Mogilny, stojący na czele ruchu współdzielczego. Opowiadał on, co się czyni pod tym zaborem, dla wzmocnienia duchowo i materialnie żywiołu polskiego, w jaki sposób wyzwolono zupełnie chłopca i robotnika od lichwy, jaką drogą oszczędności ludu, składane w kasach, w ciągu lat dwudziestu, z 42 milionów, wzrosły do 140 milionów marek, a spółki zarobkowe—z 20,000 do 80,000 członków. O zapasach cichych, bohaterskich w swej wytrwałości, mówił tak, jakby inaczej być nie mogło. Przyczynę powodzenia wskazywał między innymi w dwóch czynnikach: żądach i rządzie niemieckim;—pierwsi ułatwili zadanie Polakom, stając od razu po stronie hakatyzmu, więc pozbawiając wszelkich złudzeń i rozczarowań; rząd ułatwia zwycięstwo nasze swą zaciekłością polityczną, która go czyni ślepym na własne straty ekonomiczne. W taki sposób ów szermierz patrzy na wroga, i tak z jego tępicieleskiej działalności umie wskazywać korzyści. A nie tylko w słowach.

O pracy jego świadczy sieć kółek włościańskich i kas pożyczkowych, których on jest patronem, sieć gęsta, zaciśnięta na całej przestrzeni Prus Zachodnich i całego W. Ks. Poznańskiego węzłami tak silnymi, że przeciąć ich nie zdoła niemiecki oręż.

„Czasy są ciężkie—mówił,—budować trzeba, jak budowali mury obronne mieszkańcy Jerozolimy: z mieczem w jednej, z cegłą—w drugim ręce. Dziś kapłan jedną ręką

trzymać się winien ołtarza, a drugą—imać pracy społecznej.“

Taką wskazówkę, taki posiew rzucił w zastęp kilkuset księży, zebranych na sali, ów szlachetny bojownik i kapłan-obywatel.

W ogóle Poznańskie przysłało nam na te kursy mężów czynu i doświadczenia.

W uzupełnieniu jakby, Galicya dostarczyła teoretyków i ludzi nauki. Profesor wszechnicy Jagiellońskiej d-r Czerkawski, podał rys organizacji gospodarstwa ekonomicznego, wskazując etapy w jego rozwoju: wymiana naturalna (przedmiotu za przedmiot), wynalezienie powszechnego środka wymiennego (pieniądz), umożliwiającego podział pracy i tworzenie zapasów. Prelegent piętnował dążenie jednostek do gromadzenia bogactw, pod wpływem skojarzenia z nimi pojęcia szczęścia i potęgi.

W sposób popularny i żywy przedstawił trzy kwestye społeczne, z jakimi historia miała do czynienia: zniesienie niewolnictwa przez chrześcijaństwo, dopuszczenie do udziału w rządach klasy burżuazyjnej, stanu trzeciego, przez wielką Rewolucję francuską oraz współczesną kwestyę socjalną. To, co się robi dziś dla warstw pracujących, robi się pod grozą i przymusem, aby zachować władzę i przywileje. Czas zrobić coś dla nich w imię czystego ideału, w imię sprawiedliwości, bez rachuby.

W ostatnim swoim wykładzie prof. Czerkawski dał szkic doktryn ekonomicznych Marksa i wykazał błędność w samej podstawie marksizmu: fałszywą teorię wartości.

Drugi profesor tejże wszechnicy, d-r Klecki, z naukowego punktu widzenia przedstawił alkoholizm, jako klęskę społeczną.

Nie banalne, nie ciasne słowa padały z katedry. Słyszeliśmy, że „własność jest raczej posłannictwem, niżli bogactwem,“ że obowiązkiem kościoła—bronić słabych, kierować możnymi,“ że „użytkowanie własności nakłada odpowiedzialność moralną.“

Z ust kapłana, ks. Marcelego Godlewskiego, przywódcy Demokracji chrześcijańskiej, słyszeliśmy taki pogląd:

„Robotnik, pozbawiony oświaty, opuszczony był od wszystkich. Ci, którzy stali przy nim najbliżej, patrzyli na niego, jak na maszynę bezduszną; dla innych nie istniał wcale. Czyż możemy się dziwić, że poszedł na łup tego, który pierwszy do niego się zbliżył i że zaczął krzyżeć: „Precz z kościołem! precz z ojczyzną!“ Nie trzeba wcale być socjalistą, lecz tylko człowiekiem, aby domagać się reform. Duchowieństwo ma przed sobą drogę wskazaną—iść po niej winno wytrwale, dzielnie i rozumnie.“

Komunizm nie jest obcy katolicyzmowi—przekładał ks. Matulewicz,—czego dowodem, między innymi, mało znany fakt, że Jezuiti założyli byli w Paragwaju gminy komunistyczne. Trwały one dwa wieki i doszły do 150,000 ludności, aż je zniszczył „liberalny“ rząd Brazylii. Katolicyzm dawał przykłady komunizmu, i dziś w ustrojach klasztornych dawać nie przestaje, lecz nie czyni tego z doktryny ekonomicznej. Przeciwnie, nauka chrześcijańska mówi o własności, jako o rzeczy usprawiedliwionej i koniecznej. Kościół złagodził to, co w rzymskim pojęciu własności było twardem, nieludzkim, nasycając to po-

jęcie moralną odpowiedzialnością za użytkowanie.

Z mówców świeckich, p. Stefan Godlewski wskazał obecne drogi do działań społecznych na polu moralnym, umysłowym i materialnym, drogi otwarte dzięki trzem ustawom tymczasowym, wydanym przez gabinet hr. Wittego: o prasie, o związkach i o zgromadzeniach.

P. Suligowski wykazywał podstawy prawne działalności społecznej tam, gdzie już zaprowadzono jakieś podstawy samorządne.

Władysław hr. Potocki przedstawiał największą klęskę naszego życia wiejskiego: przedludnienie rolne. Na wiorście kwadratowej siedzi u nas ludności dwa razy więcej, niż w innych krajach, a ta wiorsta dostarcza środków dwa razy mniej, niż gdzieindziej. Lekarstwo na to widzi prelegent—w ustanowieniu dobrych komunikacji i w szerzeniu oświaty.

W ogóle w całym tym szeregu wykładów potrącano o zagadnienia, które w obecnej chwili zaciekawiają umysły najbardziej. Starano się dać odpowiedzi na zapytania, które są na ustach u wszystkich. A odpowiedzi dawali ludzie światli, działacze i myśliciele.

Opuszczano się czterodniowe kursy z cięższym brzemieniem odpowiedzialności obywatelskiej, włożonem na barki przez rozumnych i szlachetnych prelegentów.

Z tem brzemieniem pięciuset księży powróci do swych parafii, ten ciężar nie odejmować się, lecz przeciwnie, pokrzepiać ich będzie. A zdejmować go mogą z bark swoich dzieł po dniu, zwiększając zakres swej działalności obywatelskiej.

Nie wątpimy, że taki będzie plon kursów społecznych.

E. Żm.



Pierwsza szkoła koedukacyjna

w Warszawie.



Z dniem 15-ym b. m. otwiera się pierwsza u nas szkoła koedukacyjna p. Jadwigi Sierkierz-Cichińskiej.

W nowo-zbudowanym domu, przy ulicy Zgoda n-r 9-ty, szkoła obejmuje trzy duże sale klasowe, salę gier i gabinet do przyjęć lekarskich, nawprost, na dużym, niezabudowanym placu, odbywać się będą gry i zabawy na powietrzu, slōjd, oraz zaprowadzone zostaną zagonki dla dziatwy.

Na początek szkoła otwiera klasy: podwstępną, wstępną, pierwszą i drugą, w przyszłości przybywać będą klasy wyższe, aż do 7-ej, tak, aby zakład stanowił jedność—połączenie nauki średniej z elementarną.

Szkoła stawia sobie za zadanie jak największe *uspołecznienie* dziecka, przygotowania go zawczasu do przyszłego życia, do przystosowania swego indywiduum do zbiorowości; wpływać zaś ma na uczniów nie karą lub morałem, czy cenzurą i t. p., lecz budzeniem w dzieciach uczuć solidarności, równości, poszanowania pracy i obowiązku. Rozwój fizyczny—stawia kierowniczy zarząd szkoły na

równi z duchowym, pragnąc równomiernie kształcić wszystkie siły i zdolności dziecka. To też gdy kultura umysłowa obejmuje, prócz nauk, estetykę, modelowanie z gliny, rysunek, śpiew, chóry, taniec, zwiedzanie zbiorów, koncerty etc., kultura fizyczna uwzględniła szeroko ogrodnictwo, ćwiczenia gimnastyczne, gry i roboty ręczne i warsztatowe.

Zajęcia umysłowe trwać mają nie dłużej, niż 25—30 minut bez przerwy w klasach niższych, a 30—45 w wyższych, aby dziecięcych umysłów nie przeciążać zbyt długim jednostajnym nateżeniem.

Dzieci w klasie nie może być więcej, nad 15—20, przyjmowane są dziewczynki i chłopcy od lat 7—13, wszystkie dzieci zalecony mają ubiór reformowany, podług wskazówek sekcji wychowawczej Towarzystwa higienicznego.

Radę pedagogiczną szkoły składają: prof.: W. Jezierski, Karpowicz, Iza Moszczeńska i Aniela Szyćówna.

Wykładać będą: Jadwiga Cichińska (historię), Dziemińska (gry), Grabowski (matematykę), Heilpern (warsztaty), Jezierski (pogadanki), Jankowski (ogrodnictwo), Janowski (organizator wycieczek), Kalksteinówna (historię), Kopalińska (geografię), Lemnowa (historię), Leszczyńska (język polski), Luboradzka (język polski), Lublinerowa (matematykę), Lenicki (ogrodnictwo), Luxemburg (slöjd), Landowska (język niemiecki), Minkiewicz (przyrodę), Mayzłówna (gimnastykę artystyczną, estetyczne ruchy ciała, zastosowane do muzyki), Ostoja-Sawicka (język polski), Perkowska (język polski), Purzycki (rysunek), Pytlińska (wyraziste czytanie, deklamację), Rychterówna (przyrodę), Rotszajnowa (język niemiecki), Szober (polski), Sempołowska (geografię), Trojanowski (rysunek, sztukę stosowaną), Weychertówna (język polski).

Komisyja lekarska — doktorzy: Zygmunt Kramsztyk, Michałowska-Łapińska, Popławska, Wernie.

N. J.

Szkoła mozaiki drzewnej i metalowej (intarsyi)

Dzięki niestrudzonej pracy i wytrwałości ks. Witolda Czetwertyńskiego, zdobyty został w kraju naszym nowy dział zdobnictwa, nowa gałąź produkcji, a mianowicie mozaika drzewna i metalowa. Na wskrzeszenie tego, wysoce pięknego zdobienia sprzętów i przedmiotów galanteryjnych, oraz dekoracji ściennych, ks. Witold Czetwertyński poświęcił kilkanaście lat pracy, starań i zabiegów, aby technikę tych wyrobów doprowadzić do doskonałości.

Roboty wykonywane przez ks. W. Czetwertyńskiego na przystosowanej maszynie laubzegowej, nie zadawały go technicznie, opracował też specjalną maszynę do mozaiki, która pod każdym względem okazała się najdogodniejszą i najdokładniejszą ze wszystkich dotychczas używanych.

Ks. Czetwertyński w pracowni swej na Ukrainie wyprodukował wiele prac wartości ar-

tystycznej, za które otrzymał odznaczenia na wystawach. W r. 1888-ym na wystawie dekoracyjnej w pałacu Sztuki w Warszawie zdobył pierwszą nagrodę, w roku zaś 1897-ym złoty medal na wystawie kijowskiej.

Chcąc szerzej rozgałęzić znajomość techniki intarsyi, ks. Czetwertyński w roku 1893-im osobiście prowadził kurs mozaiki w szkole rzemiosł p. A. Korycińskiej, zasilając szkołę swemi maszynami, narzędziami, przyborami i wzorami. Kurs ten ukończyła obdarzona wielkim talentem w tym kierunku p. Marya Starża (Klementyna Bogucka), która w następstwie objęła kierownictwo kursu mozaiki w Muzeum rzemiosł. Książę i tutaj przychodził kierownicze z pomocą, ofiarował maszyny, przybory i pomoc materyjalną, aby dział ten mógł się rozwijać swobodnie i korzystnie.

Przedwczesna śmierć p. M. Starży nie pozwoliła jej uczennicom ukończyć rozpoczętych studyów i tylko uczynność ks. W. Czetwertyńskiego i ustawiczna praca dla wprowadzenia mozaiki do naszego przemysłu, pomogła im do uzupełnienia swych technicznych wiadomości.

PP. Natalia Bober, Celina Orzeszkowska i Stanisława Lietkie pod osobistym kierownictwem ks. Czetwertyńskiego pracowały przez pewien czas w majsterni Daszewskiej, aby móc rozpocząć prowadzenie pracowni własnej.

Pracownia mozaiki istnieje już od roku przy ulicy Wspólnej n-r 47 w Warszawie i przyjmuje obstalunki z zakresu malarstwa, dekoracji ściennej i galanterii. Posiada ona na składzie mnóstwo prób i prac skończonych, które oglądać można codziennie od godziny 4-ej do 6-ej po południu.

Przy pracowni prowadzony jest kurs nauki mozaiki, na który zapisywać się mogą uczennice w każdym czasie.

Nie szczędząc słów szczerzej zachęty młodym kierowniczkom, dodamy, iż należy popierać pierwszą u nas w kraju pracownię mozaiki, której dotychczasowe prace aż nadto przekonywują o jej sumiennej i artystycznej wytwórczości.

Z listów do „Bluszczu.”

Zakopane, w pierwszych dniach Września.

Letnia stolica poczyną się powoli wyludniać. Pomimo to, gdyby nie było kurzu na ulicach, byłoby rojno na Krupówkach i u Płonki, lecz zarząd gminy, mimo, iż pobudował wodociągi, nie uważa za stosowne usunąć największej plagi uzdrowiska, jaką jest kurz uliczny.

Ale miejmy nadzieję, że będzie lepiej. Zarząd Zakopanego zdaje się wcale nie dbać o gości, lecz za to prywatni właściciele willi i pensjonatów czynią wszystko, aby upiększyć i udogodnić swoje domy i zakłady na przybycie kuracjuszków.

Do najpoważniejszych lecznic zakopiańskich zaliczyć trzeba zakłady d-ra Dłuskiego, Chramca i Chawronka. Należą też one do tych nielicznych instytucji, które osiągnęły wielką, szeroką popularność. W odwiecznych borach żmudzkich, nad Bałtykiem, na stepach ukraińskich, w najdalszych kresowych stronach

Polski, każdy, jeżeli wie o tem, że w Tatrach leży Giewont, to napewno wie także, że w Zakopanem znajduje się zakład d-ra Chramca.

Dwadzieścia lat sumiennej, niestrudzonej, idącej z postępem czasu pracy, potrzeba było dla zakładu, aby się stał tem, czem jest: pod względem leczenia nerwowo chorych, pod względem towarzyskim, zakład d-ra Chramca jest salonem Zakopanego.

Zakład d-ra Dłuskiego, choć może przewyższa go nowoczesnemi udogodnieniami i komfortem, przeznaczony jednak dla biedaków, dotkniętych tak smutną chorobą, że w lecie zwłaszcza gwarniej i ludniej jest u Chramca, gdzie, mówiąc nawiasem, większa część gości przyjeżdża tylko po to, aby mile spędzić lato.

W lecie jest to serce Zakopanego. Wspaniałemu, można powiedzieć, niezrównanemu sanatorium d-ra Dłuskiego, pozwolimy sobie dać wyczerpujący opis w zimie.

Otóż zakład d-ra Chramca rozłożył się na przestrzeni dwustu mórg świerkowego parku, u stóp najwspanialszej panoramy górskiej, jaką ma ziemia polska. Wysokość 900 metrów nad poziomem morza, stwarza czyste, jędrne, rozrzedzone powietrze, które orzeźwia, pokrzepia i leczy.

Zakład jest kompleksem kilku piętrowych will, które pomieścić mogą z górą dwieście osób. Nie pominięto też urządzeń nowoczesnych, a łazienki mają osobny rozległy gmach, wart zwiedzenia dla swoich wspaniałych urządzeń. Kaplica zakładowa w parku, z której korzysta cała okolica, urządzenia gimnastyczne na powietrzu, wielka sala balowa i czytelnia, sala bilardowa i biblioteka złożona z kilku tysięcy tomów. Ale wszystko to byłoby nudnym, chociaż kosztownym i wzorowym mechanizmem, gdyby nie ta szczególna atmosfera swojskości i domowości, jaka tu magnetycznie przyciąga ludzi. Przy najwykwintszym towarzystwie największa swoboda.

Co prawda, możliwe to tylko w zakładzie o takich rozmiarach, jak ten, gdzie kto chce, może się zgubić, kto chce bierze udział w życiu gwarnem i bujnym, które się pieni, i perli, i szumi. Naturalnie, o ile mu na to pozwoli argusowe oko eskulapa. Pod tym względem doktorowie Chramiec i Gaik są pedantami, ale tylko pod tym jedynym względem.

Kto był raz w Zakopanem, tęsknić za nim musi — narzeka na wiele niedogodności, na kurz, na brak wielu urządzeń, ale tęskni — i wraca.

R. Zaw.

Warunki pracy zarobkowej kobiet.

Pracownice igły.

Ogólne reformy i ruch społeczny dały możność pracownicom igły utworzenia związku zawodowego.

Związek ten, jak i inne jeszcze pokrewne, stara się o unormowanie warunków pracy, lecz ogólne, zbyt małe jeszcze wyrobienie, staje temu na przeszkodzie.

Wynik badań stosunków między pracodawcami i pracownicami, jak dotąd, daje mały rezultat, gdyż tylko po większych pracowniach są regulaminy, obowiązujące obiedwie strony, a takie pracownice policzyć można, jest ich zaledwie 30—40. Tam pracownice zarabiają o wiele lepiej (stosownie do uzdolnienia), niż w innych, pracują od godziny 9-ej rano do 7-ej wieczorem, z półtoragodzinną przerwą na obiad, są płatne za godziny wieczorne i mają wakacje dwutygodniowe płatne.

Największa pracownia w Warszawie zatrudnia 312 pracownic z pensją od 5—50 rubli miesięcznie. Inne z większych pracowni za

trudniają od 20 do 40 pracownic, z pensją od 5-ju do 40-tu rubli miesięcznie, nawet uczennice są płatne.

Lecz ażeby otrzymać 15 rubli, trzeba być już uzdolnioną staniczarką lub spódniczarką, gdyż inne, wykonywujące części ubrania dodatkowe, pobierają tylko 8—12 rubli. Warunki higieniczne po większych pracowniach są też dość zadawalające.

Obejście się pracodawców w tak zbiorowej masie z konieczności musi być względne, chociaż często też pozostawia wiele do życzenia.

Teraz ze smutkiem przechodzę do pracowni małych, zatrudniających od 5-u do 10-u pracownic.

Jaka tam ciężka i mozolna walka o chleb powszedni!

Regulaminów niema tam żadnych, a umowy ustne rzadko bywają spełniane.

Pracodawczynie nie chcą zrozumieć jeszcze, iż tylko związek zawodowy może dać dobrą, uświadomioną pracownicę. Większość z nich z obawą przyjęło półtoragodzinną przerwę obiadową, lecz mniejszość każe ten czas odrabiać, a opornych oddalają, bez wymówienia miejsca.

Płaca za pracę też nie jest unormowana, trudno się wydoskonalic pracownicy, przechodzącej często z miejsca na miejsce.

Płaca od rubli 3 do 15 miesięcznie, czasem do 20, lecz za pracę wieczorową rzadko wynagradzają, a zapłata nieakuratnie odbierana bywa. Porzucają też często pracę dla złego obejścia się pracodawczyń, które widząc przed sobą biedną pracownicę, nie mając często na kawałek chleba, a cóż dopiero na sprawę sądową, bezkarnie dię pomiatają.

Oto odezwane się jednej z pracodawczyń, na uczynioną jej przez pracownicę uwagę, iż i ona jest człowiekiem. „Póki pracujesz, jesteś manekinem, a po wyjściu z pracy, włóczęgą.“

Stosunki te muszą się poprawić i nie sprawy sądowe, lecz opinia ludzka przez obrońcę spraw społecznych — prasę, gdy takie pracodawczynie będą drukowane z imienia i nazwiska, złe się ukroci.

Gdy z czasem dojdzie do porozumienia większości pracodawczyń ze Związkiem zawodowym i powiększy się liczba członkiń Związku, pracodawczynie będą pozbawione robotnic.

H. K.

Z Ochrony kobiet.

Jako przyczynek do owocnej działalności „Warszawskiego chrześcijańskiego Towarzystwa ochrony kobiet“, o którego działalności pisaliśmy w Numerze 34-ym naszego pisma, podajemy słów kilka nadesłane przez osobę, zmuszoną okolicznościami do korzystania z pomocy tej instytucji.

„W Czerwcu roku zeszłego, znalazłam się w nader krytycznym położeniu. Mąż mój, dotknięty silnie rozwiniętą chorobą płucną, zmuszony był dla poratowania zdrowia udać się na kurację, a ja z dzieckiem, liczącem zaledwie rok życia, zostałam pozbawiona wszelkich środków do życia. Skromne zapasy, jakie miałam, wyczerpały się zupełnie. Rozpaczyliwie położenie moje doszło do ostatnich granic, zostałam na bruku miejskim bez grosza, bez dachu nad głową.

Na listy, pisane do krewnych, z prośbą o pomoc i choćby chwilowy przytułek, do czasu znalezienia jakiegokolwiek pracy, albo nie dostałam żadnej odpowiedzi, albo też odmowną, motywowaną tem, że mając dzieci, obawiają się, aby nie wprowadzić do domu tak niebezpiecznej choroby.

Rozpacz moja dochodziła do ostatnich granic. Straciłam zupełnie nadzieję ratunku.

Błądząc po ulicach miasta, wzrok mój padł na znajdujący się na jednym z domów przy ulicy Mazowieckiej napis: „Warszawskie chrześcijańskie Towarzystwo ochrony kobiet.“ Nie pomijając żadnej sposobności ratunku, zadzwoniłam do drzwi tej instytucji.

Przyjęta życzliwie i ośmielona przez obecne członkinię Towarzystwa, opowiedziałam moje smutne położenie, prosząc o ratunek i pomoc w wyszukaniu pracy. Prośby moje zostały wysłuchane. Podano mi ćwiartkę papieru, prosząc o podpisanie. Zostałam przyjęta wraz z dzieckiem, znalazłam przytułek, pożywienie i ciepłą, niemal rodzinną atmosferę, tak potrzebne mej zbolalej duszy.

Po kilkumiesięcznym pobycie w zakładzie i nabraniu sił, dostawszy zajęcie, odpowiednie memu uzdolnieniu, a wystarczające na przyzwoite, choć skromne utrzymanie, uważam sobie za święty obowiązek złożyć tej pożytecznej instytucji szczerze, z serca przepelnionego wdzięcznością: „Bóg zapłać.“ — E. Baranowiczowa.



Chwila bieżąca.



— Najjaśniejszy Pan przesłał księciu Ferdynandowi bułgarskiemu telegram z powinszowaniem z racji dwudziestoletniego panowania, zaznaczając przyjazny stosunek obu narodów. W Wiedniu z powodu tego jubileuszu odbyło się nabożeństwo w nowej cerkwi rosyjskiej, uroczyste w tym dniu poświęcone.

— Warszawski generał-gubernator Skalon, ogłosił dwa postanowienia obowiązujące, przeciw: nauczaniu, wykładom, urządzaniu kursów dla dorosłych, zakładaniu bibliotek, czytelników lub organizowaniu jakichkolwiek wykładów, w celach nauczania ludności, tak przez osoby prywatne, jako też przez Towarzystwa, bez pozwolenia władzy. Przekraczający powyższe postanowienie, będą karani administracyjnie zamknięciem w twierdzy do trzech miesięcy lub grzywnami w sumie trzech tysięcy rubli.

— W dniu 27-ym z. m. upłynął termin ostateczny składania deklaracji wyborczych. Ruch interesantów w biurze wyborczym był bardzo mały. Przez cały czas złożono ogółem 207 deklaracji.

— Słynna powieść Bolesława Prusa „Faraon“, została przełożona na język esperancki.

— Sztuka Żuławskiego „Eros i Psyche“, została zabroniona i cofnięta z repertuaru scen rosyjskich.

— Kilku zakonników reguły zakonu św. Franciszka Braci Mniejszych z Krakowa, pod przewodnictwem o. Stefana Podworskiego z Kalwaryi Zbrydowskiej, udało się do Królestwa Polskiego na misye w celu nawracania mankiotników na łono Kościoła katolickiego.

— Pięciu bandytów, skazanych na śmierć przez powieszenie, za zabójstwo redaktora Jana Gadowskiego, zostało ulaskawionych przez generał-gubernatora warszawskiego, który karę śmierci zamienił im na 20-letnie ciężkie roboty.

— W Płocku, w połowie zeszłego miesiąca otwarto „Dom ludowy“, posiadający pokój do zabaw i gier, oraz długą salę z małą scenką, przeznaczoną na widowiska teatralne i inne pokazy i czytelną własną. „Dom ludowy“ w Płocku jest pierwszym w całym Królestwie. Mamy nadzieję, iż za przykładem Płocka pójda i inne miasta, a nade wszystko Warszawa, w której brak tego rodzaju miejsca zebrań bardzo odczuwać się daje.

— Czasy rewolucyjne odbijają się strasznym echem i w umysłach dzieci. Pod Żąbkowicami chłopcy-pastuszkowie w wieku lat 9—12-tu, urządzili sąd i powiesili towarzysza swego, chłopca 12-letniego, oskarżonego o kradzież. Dopiero w kilka dni znaleziono zwłoki już w stanie rozkładu.

— W ostatnich czasach powstało kilka księgarni polskich na Rusi, mianowicie w Mohylowie Podolskim, Kamieńcu Podolskim i Płoskirowie. Dotąd było tylko trzy w Kijowie i jedna w Żytomierzu. Popieranie tych księgarni jest obowiązkiem miejscowej ludności polskiej,

— Dnia 27-go Sierpnia roku zeszłego na wyspie Apte-

karskiej dokonano zamachu na prezesa ministrów, Stołypina. Z powodu tej rocznicy Najjaśniejszy Pan wysłał telegram, pełen życzliwości dla ministra.

— Dnia 7-go b. m. rozpoczął się w Moskwie Zjazd marszałków szlachty.

— „Stoliczne Utro“ donosi, iż poruszono sprawę udziału policji na zebraniach uniwersyteckich. Aby nie drażnić studentów, postanowiono posyłać na zebrania i wiece studenckie urzędników ministerjum z wyższym wykształceniem.

— Studenci moskiewscy postanowili nie dopuścić do wykładów w uniwersytecie, uchwalając rezolucję, protestującą przeciw ograniczeniu autonomii uniwersytetów.

— Nowe procesy grożą członkom Związku narodu rosyjskiego. W niedawno zabitym Kazancewie, poznano uczestnika zamachu na Herzensteina. Wykryto związek pomiędzy zabójstwami Jollosa, Herzensteina i zamachem na hr. Wittego, która to sprawa ma być wznowiona. Prócz tego za defraudację skazano jednego z prezesów „Związku prawdziwych Rosyan“, niejakiego Smigrabenkę, na sześć miesięcy więzienia.

— Gdy w Elizawetpolu przechodził orszak z trumną zabitego kozaka, ze skłębów ormiańskich strzelano do orszaku.

— W Irkucku zabito dla rabunku właściciela koplani złota, Zacharowa. Sześć funtów złota, które miał przy sobie, zrabowano.

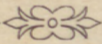
— W Kisłowodzku, na Kaukazie, zrabowano 12,000 rubli z kasy dworca kolejowego.

— We Francji, w Die, zbuntowali się rezerwiści, powołani na ćwiczenia, z powodu nieprzygotowania dla nich kwater. Znieważyli oni czynnie kapitana i śpiewali pieśni rewolucyjne.

— We Wrocławiu odsłonięto pomnik, poświęcony pamięci żołnierzy austriackich i pruskich, poległych w roku 1866-ym. Pomnik stanął na cmentarzu wojskowym.

— W Ameryce ma się odbyć „Kongres polski“, mający na celu obronę imienia i narodowości polskiej, tak często narażonej na haniebną poniewierkę przez różnych pisarzy, oraz obronę interesów polskich w Ameryce. W tym celu cenzor zjazdu zaprasza do Waszyngtonu mężów stanu, pracodawców, literatów, aby przybyciem swoim uświetnili kongres, mając nadzieję, iż Europejczycy wydelegują też swoich przedstawicieli.

— Ś. p. Aloiza Trauguttówna, córka Romualda Traugutta, dyktatora powstania z r. 1863-go, zakończyła życie przed paru tygodniami w Warszawie. Zmarła znaną była jako zdolna i sumienna nauczycielka muzyki, w chwilach wolnych pisywała poezje.



Od Administracji.

Celem uniknięcia zwłoki w przesyłaniu naszego pisma, upraszamy Szan. Prenumeratorki o wczesne wnoszenie przedpłaty na kwartał następny.

Zwracamy przy tem uwagę, że dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, najlepiej wysyłać listy pieniężne bezpośrednio do Administracji „Bluszczu“ (Nowy-Świat, 41).

Treść numeru:

Rozkosz oczu, przez Jadwigę z Z. Strokową. — Bez celu, powieść, przez Maryana Gawalewicz (ciąg dalszy). — Romans (wiersz), przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Kwiaty i chwasty, przez Teodora Jeske-Choińskiego. — Czuwająca gwiazda, przez Z. Bielińską. — Kursy społeczne, przez E. Żm. — Pierwsza szkoła koedukacyjna w Warszawie, przez N. J. — Szkoła mozaiki drzewnej i metalowej (intarsji). — Z listów do „Bluszczu“ z Zakopanego, przez R. Zaw. — Warunki pracy zarobkowej kobiet: Pracownice igły, przez H. K. — Z Ochrony kobiet. — Chwila bieżąca. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 15-ty powieści Piotra Loti'ego z życia współczesnych haremów tureckich, p. t. „Rozczarowane“, w przekładzie M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót z rycinami, oraz Tablica krojów.



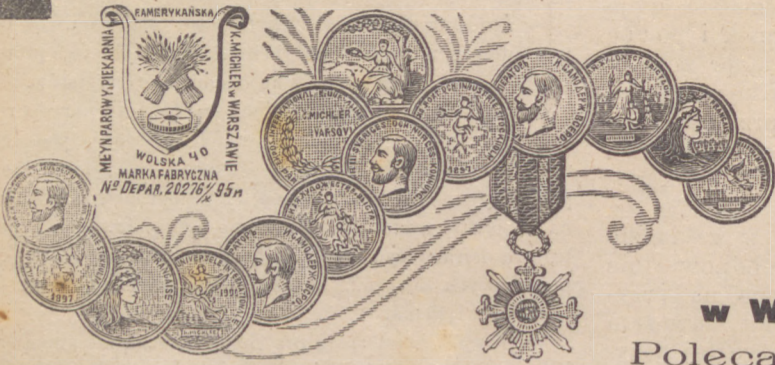
Główny Skład Żyrardowski

Krakowskie Przedmieście № 55, w Warszawie



Poleca na Sezony Flanele, Barchany, Materyały puchowe. Firanki, Portyery, Dywany.
Jesienny i Zimowy: KOLDRY, PLEDY, CHUSTKI. Wyroby pończosznice.

Mąka i pieczywo



Zakłady Przemysłowe

(Młyny i Piekarnie Parowe)

Karol Michler

w WARSZAWIE, Wolska 40.

Polecają ze swej

Największej w Kraju Fabryki Makaronów

Makarony w różnych gatunkach i 50 odmianach

Na żądanie wysyłamy Cenniki z dokładnem wyszczególnieniem odmian.

Zakład Karola Schulza

w Warszawie, ulica Ś-tej Barbary № 10.

Przyjmuje chłopców od lat 7-miu bez umiejętności czytania i pisania i przysposabia ich do wszystkich średnich zakładów naukowych.

Szkola posiada najnowsze pomoce naukowe i kładzie główny nacisk na poglądowość w nauczaniu.

Przy szkole znajduje się bogate muzeum szkolne, zawierające przeszło 10,000 okazów do poglądowego nauczania, które zwiedzać mogą wszyscy, interesujący się wychowaniem młodzieży.

W internacie szkolnym jest kilka wolnych miejsc.

Zapisy przyjmuje się codziennie od 9-ej do 3-ej.

Lekeye rozpoczynają się 4 września.

Pensjonat Zofii Dobrzańskiej

dla kilku kształcących się pań w zakładach lub prywatnie. Na żądanie muzyka.

Złota 42, m. 15. Od 3-6.

Lecznica D-ra M. Roszkowskiego dla dzieci

Zielna 11, tel. 2184.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie
KARPIŃSKIEJ
POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony francuzki, niemki, angielski.
Warszawa, Moniuszki 7.

KUPUJĘ BRYLANTY,
ZŁOTO, SREBRO I KWITY LOMBARDOWE
Henryk Juwiler
Nowy-Świat 59, I-sze piętro front. Tel. 5528.
Sprzedają Biżuterję: Srebro okazyjne. Kontentuje się małym zyskiem, bo w mieszkaniu.

Pierwszorzędne biuro nauczycielskie
ANTONINY PIASECKIEJ
poleca: nauczycieli, nauczycielki, bony, sprrowadza cudzoziemki.
WARSZAWA
Świętokrzyska № 20.

Kaucyonowane
BIURO NAUCZYCIELSKIE
Wandy Rościszewskiej
Warszawa, Bracka 23,
Łódź, Przejazd 14.
Poleca Nauczycieli, Nauczycielki, Freblówki, Bony różnych narodowości.

SANATOGEN



Wszystkim osłabionym, wycieńczonym, zdenerwowanym i pozbawionym energii życiowej przywraca siły i chęć do życia

SANATOGEN BAUERA

Pochlebne opinie więcej niż 3600 lekarzy i profesorów. Dostać można we wszystkich aptekach i składach aptecznych. Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw. Prawdziwy tylko w opakowaniu rosyjskiem.

Broszury gratis i franco wysła S. KARCZEWSKI, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.

Skład sukna i kortów

Jan Jaczewski i S-ka

w Warszawie, 13 TRĘBACKA 13. Telefon 45-16
(naprzeciwko domu dochodowego)

Otrzymał duży wybór materiałów sezonowych krajowych i zagranicznych.

PRÓBKI WYSYŁA GRATIS.

MOZAJKI artystycznej i INTARSYI

KURSY I PRACOWNIA

WSPÓLNA 47^A m. 3.

Pracownia przyjmuje obstalunki z zakresu meblarstwa, dekoracji ściiennej i galanterii.

Kurs roczny obejmuje mozajkę drzewną, metalowe z kości słoniowej, perłowej masy i szyldkretu.

Kursa wyższe dla Kobiet

im. A. Baranieckiego

istniejące od roku 1868

z trzema wydziałami: literackim, przyrodniczym i artystycznym.

Początek roku po raz trzeci nie od 15-go ale od 1-go października.

Programy przesyła za zwrotem tylko kosztów pocztowych księgarnia W-go Gebethnera w Warszawie. Korespondencje kursów załatwia sekretarka H. Tomaszewska w Krakowie, ulica Karmelicka L. 36.

Dyrektor Józef Rostafiński.

Szkoła artystyczno - zawodowa dla kobiet

Anieli Lewandowskiej

przełożonej 7 kl. pensji żeńskiej

w Warszawie, Koszykowa 33^a. Programów szczegółowych udziela kancelarya szkoły.

